

W roku ubiegłym Rada Etyki Mediów rozpatrzyła prawie **dwieście** spraw, skierowanych na nasz adres korespondencyjnie. Ponadto z wieloma osobami dzieliliśmy się swoimi opiniami telefonicznie, a zarząd Rady, głównie przewodnicząca, kilkadziesiąt razy wypowiedział się na gorące tematy w mediach.

Rada działa według następującego modelu: Skargi i wnioski wpływające z zewnątrz, skrótowo omawia się na zebraniach. Członkowie Rady dzielą między siebie poszczególne sprawy do rozpatrzenia i napisania opinii. Z zasady staramy się, aby uzyskać consensus w ocenie konkretnej skargi. Listy z opiniami rozsyłamy do wszystkich zainteresowanych stron, niezależnie od tego, która z nich zgłosiła sprawę.

Opinie są formułowane na podstawie treści i formy przekazu, który dotarł do odbiorcy.

Zdarzało się, że sprawa nie dotyczyła ani treści, ani formy przekazu, lecz np. sposobu postępowania dziennikarza. W takim przypadku, uznając za niemożliwe prowadzenie jakiegokolwiek dochodzenia, choćby ze względu na brak uprawnień i stosownego aparatu, przyjęliśmy zasadę zastrzegania, że Rada nie może zbadać prawdziwości prezentowanych wydarzeń, czy zweryfikować niektórych argumentów. Odnosiliśmy się wtedy raczej do problemu wyłaniającego się z opisanej sytuacji, niż konkretnego incydentu. Najczęściej, z użyciem formuły: "Jeśli prawdą jest, ..."

Poza liczną korespondencją Rada wydała w ub. roku osiem oświadczeń, które zostały upowszechnione w mediach.

Od początku przyjęliśmy zasadę publicznego wyrażania swych opinii o **zjawiskach** moralnie nagannych, występujących w mediach; wyjątkowo tylko na temat pojedynczych przypadków naruszania którejs z zasad zapisanych w Karcie, lub ogólnie przyjętych norm.

Wielokrotnie musieliśmy przypominać naszym korespondentom, że nie spełnimy ich oczekiwań, jeśli chodzi o wyciągnięcie sankcji wobec dziennikarzy, którzy zdaniem skarżących się postąpili nieetycznie. Rada nie jest trybunałem prasowym, czy sądem koleżeńskim.

Możemy tylko wskazywać rodzaj wykroczenia; wyrażać opinie, wsparte autorytetem Rady - i zajmować stanowisko w sprawie konieczności, oraz sposobu naprawienia wyrządzonych krzywd, zadośćuczynienia z racji powstałych szkód moralnych. Uważamy też za swój obowiązek apelować o zaangażowanie mediów w sprawy, które naszym zdaniem tego wymagają, wreszcie - chwalić za dobrą robotę.

Nie jesteśmy w stanie - i nie uznajemy tego za naszą powinność - rozstrzygać zgłoszonych nam sporów i dociekać stanu faktycznego metodami, stosowanymi w dziennikarstwie śledczym. Stwierdzenie, że ta spośród stron sporu lub kontrowersji, która kłamie, narusza podstawową normę etyczną i pierwszą z zasad (Zasad prawdy - co znaczy, że dziennikarze, wydawcy, producenci i nadawcy, dokładają wszelkich starań aby przekazywane informacje były zgodne z prawdą, sumiennie i bez zniekształceń relacjonują fakty w ich właściwym kontekście, a w razie rozpowszechnienia błędnej informacji niezwłocznie dokonują sprostowania,) zapisanych w Karcie Etycznej Mediów,

często nie zadowala naszych korespondentów. Uważamy jednak, że zawsze służy upowszechnianiu i gruntowaniu owej normy.

Rada stara się o to również poprzez inną formę działania: spotkania z zespołami różnych mediów, poświęcone rozwiązywaniu dylematów moralnych, które pojawiają się w pracy dziennikarskiej i redakcyjnej. W ubiegłym roku do takich spotkań nie doszło.

Szkoda, bo dotychczasowe nasze doświadczenia mówią o potrzebie stałego przywoływania i gruntowania norm najbardziej podstawowych, elementarnych zasad przyzwoitego postępowania i dobrych obyczajów.

A w ciągu prawie dziesięciu już lat działania (pierwszy skład Rady ukonstytuował się 12 kwietnia 1996 r.) zyskaliśmy, jak się zdaje, spory autorytet, zwłaszcza wśród odbiorców medialnych przekazów, którzy coraz częściej i liczniej szukają u nas pomocy, jeżeli albo sami czują się przez media skrzywdzeni, albo też, gdy obywatelska powinność każe im zwrócić uwagę na odstępstwa natury etycznej w tych przekazach.

xxx

Rok ubiegły przyniósł trzy wydarzenia - bardzo odmiennej natury - które poruszyły wszystkie media w Polsce. Były to: choroba i śmierć Jana Pawła II, kampania wyborcza i ogłoszenie w Internecie tzw. listy Wildsteina.

Z natury rzeczy i Rada Etyki Mediów tkwiła w środku tych brzemiennej natury skutki faktów jako obserwator i odbiorca licznej korespondencji od osób oraz instytucji, chcących się odnieść do sposobu potraktowania wydarzeń przez dziennikarzy.

Z satysfakcją stwierdziliśmy, że w czasie zbliżania się śmierci Jana Pawła II i w dniach żałoby wszystkie media, niezależnie od swych orientacji politycznych i światopoglądowych, zachowały się godnie i wobec siebie koncyliacyjnie. Ucichły wszelkie spory, a odbiorcy medialnych przekazów mieli rzadką okazję poczuć, że jako obywatele jesteśmy jedną wielką rodziną, którą dotknęło nieszczęście.

Potem jednak nadeszła kampania wyborcza - długa, ciągnąca się również w czasie letniej kanikuły i ona z całą wyrazistością odstąpiła słabości polskiej demokracji, a wśród nich mediów, zarówno elektronicznych, jak i drukowanych. Jeżeli uznajemy - co nie dla wszystkich szefów i właścicieli mediów jest oczywiste - że środki przekazu powinny pomagać obywatelom w wyborze polityków i wyjaśniać konsekwencje proponowanych przez nich programów, to musieliśmy stwierdzić (wydając odpowiednie oświadczenie), że nad tą powinnością dominowała powierzchowność i poszukiwanie sensacji. Nazbyt często dziennikarze prowokowali wzajemne oskarżenia i podsycali agresję swoich rozmówców.

Przykładem na to, że media skoncentrowały się na plotkach, pomówieniach i sensacjach stała się informacja Jacka Kurskiego (sztabowca PiS), iż dziadek kandydata na prezydenta Donalda Tuska był w Wehrmachcie. Dziennikarze skoncentrowali się tylko na pytaniu, czy Kurski przeprosi Tuska; nie wyjaśniając, co znaczyła na Kaszubach odmowa pójścia do hitlerowskiej armii.

Do manipulowania opiniami wyborców dochodziło najczęściej w tzw. terenie, gdzie jest poczytny jeden miejscowy dziennik. Na przykład: Gazeta Lubuska z Zielonej Górze straszyla czytelników rzekomymi zapowiedziami planów Platformy Obywatelskiej likwidacji województwa lubuskiego. (Mieszkańcy mogli sobie to przełożyć na konkretne straty miejsc pracy, dostępu do wyspecjalizowanej służby zdrowia, itd.) Artykuły na ten sam temat ukazywały się co kilka dni i zajmowały całe płachty dziennika. Tytuły publikacji wskazywały, że decyzja o podziale właściwie już zapadła. Na mapach Polski, które gazeta zamieszczała, było przekreślone tylko jedno województwo - właśnie lubuskie.

Artykuły ukazywały się mimo tłumaczeń przybyłych na miejsce polityków PO, że nie noszą się z takimi zamiarami.

Za moralnie naganne uznaliśmy angażowanie się członków władz mediów publicznych w działalność sztabów wyborczych. Groziło to bowiem konfliktem interesów i rodziło podejrzenie o wykorzystywanie sytuacji do czego innego, niż dobro odbiorców.

Taka sytuacja zdarzyła się w Olsztynie i w Białymstoku. W Olsztynie na czele sztabu kandydata na prezydenta Włodzimierza Cimoszewicza stanął przewodniczący rady nadzorczej publicznego Radia Olsztyn SA Henryk Łańko. W Białymstoku sztabem tego samego kandydata kierował Zbigniew Krzywicki przewodniczący sejmiku województwa podlaskiego i członek rady nadzorczej radia Białystok.

Stały bat na media w czasie kampanii wyborczej - zarzut naruszenia politycznej równowagi dla prezentowanych kandydatów - mógł być też pretekstem do rozprawienia się z samodzielnie myślącym dziennikarzem.

Zwróciła się do nas Anna Mołodecka prezes zarządu Miejskiej Telewizji Opole Sp. z o.o, ponieważ miejscowe władze zarzuciły jej forowanie Jana Rokity, gdy w czasie obecności w Opolu został zaproszony do studia na rozmowę w ramach cyklu "Spotkania z...". Uznaliśmy, że nie była to audycja wyborcza sensu stricto, a zatem wspomniana równowaga nie musiała być przestrzegana, a po drugie, w cyklu emitowano wywiady z przedstawicielami także innych ugrupowań, czyniąc zadość obowiązkowi prezentacji politycznej mapy miasta i regionu.

Przyczynę takiego potraktowania kampanii upatrujemy w niezrozumieniu przez część mediów ich roli w demokratycznym społeczeństwie. Na to nakłada się też niekompetencja wielu przedstawicieli naszego środowiska.

Xxx

Równolegle trwała bardzo rozogniona, często daleka od parlamentaryzmu dyskusja w mediach po upublicznieniu "listy Wildsteina". Niektóre publikacje, np. Gazety Wyborczej niefortunnymi tytułami ("Ubecka lista krąży po Polsce", "Barbarzyństwo Wildsteina"), wbrew woli autorów dezinformowały odbiorców, nasilając atmosferę wzajemnych podejrzeń.

Już na początku tego szokującego wydarzenia Rada wystosowała apel do wszystkich dziennikarzy. Stwierdziliśmy, że proces odtajnienia akt znajdujących się w Instytucie

Pamięci Narodowej jest odsłanianiem prawdziwej historii powojennej Polski, a media odegrają w tym dziele ważną rolę, gdyż ich celem jest urzeczywistnianie prawa obywateli do jawności życia publicznego.

Jednakże, zadaniem dziennikarzy jest również minimalizowanie kosztów społecznych, jakie ów proces za sobą pociąga. Takie względy jak oglądalność, słuchalność i poczytność muszą ustąpić poczuciu odpowiedzialności i rozważde.

Nie rezygnując zatem z przysługującej mediom funkcji kontrolnej, muszą one z dobrą wolą towarzyszyć działaniom IPN - instytucji zaufania publicznego i nie powinny na własną rękę wyprzedzać takich działań.

Uznaliśmy, że w tej chwili najważniejsze jest ciągłe powtarzanie w mediach, iż krążący w internecie skorowidz nazwisk nie jest listą agentów. Równocześnie przestrzegliśmy przed próbami instrumentalnego traktowania mediów przez przeciwników odsłaniania prawdy o historii Polski.

Czy mieliśmy satysfakcję, że nasz apel został wysłuchany? Nie do końca. W ciągu całego roku nadchodziła do nas korespondencja od osób, w swoim poczuciu skrzywdzonych, które zostały przedstawione w mediach jako agenci SB, czy tajni współpracownicy służb specjalnych. Sędziami okazali się dziennikarze, którzy swoje oskarżycielskie audycje, czy artykuły opierali na zasłyszanych, nie sprawdzonych informacjach. A to, co sami przeczytali w teczkach IPN, traktowali jako oczywistą prawdę, niewymagającą dalszego weryfikowania. Celowały w tym zwłaszcza gazety o zasięgu terytorialnym, których łamy czasem wykorzystywali osobiści przeciwnicy pomówionych (czytaj: skazanych na śmierć cywilną) osób.

Na taką czarną listę wpisały się między innymi Przegląd Koniński i Dziennik Bałtyki.

W pierwszym przypadku ofiarą została Bożena Brzezińska znana i zasłużona działaczka podziemnej Solidarności. Z wielkim hukiem, na pierwszej stronie Przeglądu Konińskiego przedstawiono ją (duże zdjęcie) jako agentkę SB. Autorem tego niby reportażu śledczego jest kolega Brzezińskiej z solidarnościowego podziemia.

Natomiast Dziennik Bałtycki wszedł w rolę inkwizytora Jana Szuflika wójta gminy Malechowo. Pomawiający artykuł podważał dobre imię Szuflika już samym tytułem: "Wójt donosił SB?". Dla dziennikarza nie miało znaczenia, że bohater jego publikacji przedstawił na sesji radnych, w obecności dziennikarzy stosowne zaświadczenie z IPN, iż nazwisko, które nosi i widnieje na liście Wildsteina, nie dotyczy jego osoby.

Szczególnie rażące wydało się nam naruszeń reguł etyki dziennikarskiej w przekazach na temat współpracy księży ze służbami specjalnymi PRL. Dla niektórych dziennikarzy był to powód do pewnych manipulacji w kwestiach kadrowych kierownictwa IPN. Próbowano na przykład sugerować odbiorcom, że prezes IPN Leon Kieres przez cztery lata celowo przetrzymywał materiały na temat współpracy księży. Takie sugestie padły w programie Moniki Olejnik "Prosto w oczy" i w porannych audycji Jacka Żakowskiego w radio Tok FM. Również inne media - m.in. tygodnik "Wprost" - nie powstrzymały się od powiększania dezinformacji na ten temat.

Apelowaliśmy, wydając stosowne oświadczenie, aby dziennikarze rozpoznawali i tłumaczyli mechanizmy gier, które zmierzają do zahamowania procesu odtajnienia dokumentów służb specjalnych PRL, a nie stawiali się ich narzędziem.

Równocześnie przypomnieliśmy, że w świetle zasad spisanych w Karcie Etycznej Mediów nie powinno być wątpliwości co do potrzeby przeprowadzenia lustracji wśród dziennikarzy.

Zasada dobra odbiorcy, z której wynikają wszystkie inne zasady wymaga, aby przekazy dziennikarskie były przygotowywane przez ludzi wiarygodnych.

xxx

Jeszcze jedno wydarzenie znalazło się w ub. roku na pierwszych stronach wszystkich gazet i we wszystkich mediach elektronicznych. To apokaliptyczna fala morska, która uderzyła w niczego niespodziewających się ludzi z Azji Południowo-Wschodniej. Niestety, w informacjach i relacjach z krajów nią dotkniętych pojawiały się zdjęcia, także materiały filmowe, naruszające godność ludzkiej śmierci, będącą jednym z podstawowych kanonów naszej cywilizacji.

Media polskie starały się dotrzymać kroku tym profanom. W mniej lub bardziej drastyczny sposób bulwersowały odbiorców widokami nagich zwłok, deformacji wywołanej rozkładem, pokazywanych z bliska twarzy zmarłych, również dzieci.

Uznaliśmy za właściwe oświadczyć, że takie obrazy nie służą ani lepszej informacji o tragicznym wydarzeniu, ani spotęgowaniu chęci pomocy ofiarom. Wydają się obliczone jedynie na zwiększenie pokupności produktów medialnych.

W Karcie Etycznej Mediów są zapisane zasady szacunku i tolerancji, oraz zasady kierowania się dobrem odbiorcy.

Dobro odbiorcy - powtarzamy wielokrotnie, bowiem jest to zasada, najczęściej obchodzona przez dziennikarzy. Z rozmów z autorami kwestionowanych przez nas artykułów (kwestionowanych pod względem etycznym) mogliśmy się zorientować, że w przekonaniu wielu dziennikarzy zasada ta kłóci się z koniecznością sprzedaży gazety, czy audycji, zainteresowania medialnym produktem ewentualnego nabywcę.

Dlatego, aby przyciągnąć uwagę odbiorców, "uatrakcyjnia" się publikacje sensacyjnym tytułem, sprzecznym z anonsowaną w ten sposób wiadomością. W ub. roku przykładem takiej praktyki były tytuły informacji o zarzutach prokuratury wobec Andrzeja Długosza, właściciela firmy Cross Media PR, skądinąd przewodniczącego Rady Nadzorczej Polskiego Radia SA. Ale sformułowane oskarżenia nie miały związku z tą działalnością.

Tymczasem tytuły informacji prasowych: "Z rady Polskiego Radia do aresztu", "Są zarzuty wobec prezesa radia", "Z Radia za kraty" - kierowały w stronę instytucji, nie mającej nic wspólnego z podejrzeniem przestępstwa. Tym samym podważały zaufanie społeczne, jakim cieszy się Polskie Radio.

W związku z oszustwem, którego ofiarą padli dziennikarze "Gazety Wyborczej", (Przypomnijmy: chodzi o rzekomą współpracę funkcjonariuszy KG Policji z gangsterami. Informacjom GW zaprzeczały MSWiA i policja, a szef resortu Ryszard Kalisz podał się do dymisji. Premier nie przyjął jej, ale odwołał Andrzeja Brachmańskiego, wiceministra nadzorującego policję. Pięć dni później Gazeta Wyborcza napisała, że stała się ofiara umyślnej dezinformacji, którą prawdopodobnie zaplanował Jan Markowski szef zarządu CBS w Olsztynie), w naszym środowisku rozgorzała dyskusja, czy redakcje i ich chluba - dziennikarze śledczy, mogą ujawnić swoich informatorów.

Stanowisko Rada Etyki Mediów było jednoznaczne:

Nie ujawnianie informatorów jest zasadą bezwzględną, której złamanie może być usprawiedliwione jedynie koniecznością najwyższego rzędu, na przykład uratowaniem czyjegoś życia, czy udaremieniem zbrodni. Z drugiej jednak strony dziennikarstwo śledcze musi zachowywać szczególną troskę o to, by nie utracić wiarygodności przez danie fałszywego świadectwa. I nie stać się bezwolnym narzędziem manipulacji.

Należy dokładnie sprawdzać swoje źródła informacji, których powinno być kilka, co najmniej dwa. Obowiązuje też zasada ograniczonego zaufania do wszystkich informatorów.

Uznaliśmy za konieczne przypomnienie organom ścigania i wymiarowi sprawiedliwości, że dziennikarzom wolno zdobywać i publikować - z należytą odpowiedzialnością - wszelkie dokumenty, także tajne, zaś obowiązek ich chronienia spoczywa na tych, którzy takie dokumenty tworzą, lub je przechowują. Jedynie tam należy szukać winnych ich ujawnienia.

xxx

Czym jeszcze się zajmowaliśmy? Opiniowaniem, a w miarę możliwości rozsądzaniem, dlaczego dana redakcja nie zamieściła sprostowania od osoby, czy instytucji, przedstawionych w złym świetle.

Teczka ze sprawami tego typu jest najgrubsza w naszym archiwum. Odmawianie druku sprostowań, przeciągania na długie miesiące terminu ich publikacji, staje się w Polsce plagą. Niestety, przykład idzie z góry. Tak poczynają sobie zarówno duże redakcje jak i małe, terenowe, z kilkusobowymi zespołami. Co gorsza, odnosimy wrażenie, że nierzetelni autorzy artykułów, wymagających sprostowania, nie są tym zawstydzeni, czy choćby zakłopotani. Nie spotkaliśmy się z wyrażeniem skruchy przez dziennikarza, który ewidentnie nakłamał i trzeba prostować. Przeciwnie, nasi młodszy koledzy po fachu, bardziej spontaniczni w rozmowie z członkiem Rady wyznawali z rozbrajającą szczerością, że naczelny (kierownik działu) nie tylko nie "wezwał ich na dywanik", ale nawet uspokoił, aby sobie tymi "pieniaczami" nie zawracali głowy. Redakcja ma od tego wynajętych prawników.

Załączony do raportu wykaz co bardziej charakterystycznych spraw, z którymi zwrócili się do nas autorzy listów pokazuje, że jest to zasadnicza pretensja odbiorców mediów.

Kilka przykładów. W Gazecie Pomorskiej został pomówiony komendant wojewódzki Henryk Tokarski. Wytoczony przez pokrzywdzonego proces cywilny dowiódł nie tylko braku staranności ze strony dziennika, ale także ogromu złej woli dziennikarzy, bowiem nadinterpretowano treść anonimu, który wpłynął do redakcji. W efekcie procesu w I, a następnie II instancji zapadł wyrok, zobowiązujący redaktora naczelnego do zamieszczenia sprostowania. Ukazało się w mało widocznym miejscu, właściwie nie do zauważenia, w dwa lata po wydrukowaniu artykułu. Rodzi się refleksja: jeśli nawet wysokiemu funkcjonariuszowi, obecnie pracującemu w Komendzie Głównej Policji nie udało się zmusić redakcję do naprawienia jego krzywdy, to, jakie szanse ma w podobnej sytuacji szary człowiek z ulicy?

Inny przykład świadczący nie tylko o nierzetelności reportera, ale i nie respektowaniu praw osoby pomówionej w artykule.

W gazecie codziennej "Fakt" na pierwszej stronie ukazał się artykuł Wojciecha Biedronia pt. "Ma oddać dzieci za dług" W reportażu opisana jest sprawa rolnika Władysława Knurowskiego, wobec którego komornik prowadzi postępowanie egzekucyjne, gdyż po wielu latach procesowani się zapadł prawomocny wyrok, orzekający eksmisję. Ponieważ Knurowski w razie eksmisji na przysłowiowy bruk znalazłby się tam razem z dziećmi, Sąd Rejonowy w Brzesku wydał orzeczenie o tymczasowym umieszczeniu małoletnich w placówce opiekuńczo wychowawczej.

Reporter Faktu pojechał śladem komornika. I napisał artykuł, w którym były głównie obelgi pod adresem instytucji wymiaru sprawiedliwości. Oto cytaty z tego tekstu: "Skandal!. (...)" "Sędzia z komornikiem chcą rozbić kochającą się rodzinę!". "Pan nie ma sumienia, panie sędzio!. Myśli pan, że jak są biedne, to może pan je bezkarnie krzywdzić? Te dzieci muszą pozostać przy ojcu, niezależnie od pana pokrętnych decyzji, sędzio Romanie Różanowski".

Są zdjęcia sędziego z podpisem: - "Bezduszny sędzia ma za nic miłość, która panuje w rodzinie Knurowskich".

Z obszernej dokumentacji, którą uzyskaliśmy wynika, że Knurowski od lat wyłudza pieniądze od państwa. Aby wzbudzić litość urzędników, manipuluje swymi dziećmi. Gdyby dziennikarz Faktu zajrzał do akt sądowych, poznałby całą prawdę. Ale z lenistwa tego nie zrobił.

Prezes Sądu Rejonowego w Brzesku Sławomir Świerczek poskarżył się REM, że red. Biedroń nie przestrzega ani prawa prasowego, ani Karty Etycznej Mediów. Nie kontaktował się z sądem, wysłuchał tylko pretensji jednej strony.

Sędzia zażądał od kierownictwa Faktu umieszczenia sprostowania. Redakcja stanęła po stronie dziennikarza. Obsługująca ten dziennik kancelaria adwokacka przygotowała odpowiedź, w której stwierdzono, że artykuł został opublikowany zgodnie z zasadami staranności i rzetelności dziennikarskiej. A ponieważ tekst sprostowania jest nieco dłuższy, niż tego wymaga art.12 prawa prasowego, nie zostanie opublikowany.

Xxx

Aroganckie potraktowanie przez dziennikarza prezesa sądu w Brzesku nie jest odosobnionym sygnałem. Zauważyliśmy, że zdarza się to coraz częściej. Można nawet mówić o pewnej regule - im młodszy dziennikarz, tym bardziej przekonany, zwłaszcza na zewnątrz redakcji, że jest czwartą władzą.

Skarży się sędzia Andrzej Almert rzecznik prasowy Sądu Okręgowego w Krakowie na reportera TVN M. Kuciela, że mimo jego prośb, nie chciał wyłączyć kamery, tylko nadal go filmował.

- Odmówiłem udzielenia pewnych informacji - tłumaczy się sędzia - gdyż stanowiłoby to naruszenie tajemnicy państwowej i śledczej.

Rzecznik twierdzi, że sędziowie coraz częściej spotykają się z nachalnością dziennikarską. Muszą kryć się przed krążącymi korytarzami ekipami telewizyjnymi; również we własnych gabinetach. Nie są też wolni od tego typu napaści. Sędzia opisuje konkretne incydenty..

Czy sędziowie nie wiedzą o prawie dziennikarza do uzyskania informacji? Oczywiście, że znają odpowiednie przepisy. Ale - przypominają - beneficjenci tego prawa nie mogą z niego korzystać w sposób sprzeczny z zasadami współżycia społecznego.

W dociekaniu prawdy powinni szanować podmiotowość indagowanych przedstawicieli służb publicznych. I nie ma to nic wspólnego z zagrożeniem wolności dziennikarza.

xxx

Mechanizm zazwyczaj jest taki: telewizja podaje na cały kraj informację o niewłaściwym potraktowaniu petenta w jakiejś instytucji państwowej. Przypadek jest na tyle bulwersujący, że wywołuje w mediach dyskusję na temat pracy urzędników. Im bardziej jest to instytucja nielubiana, jak na przykład urząd skarbowy, tym więcej emocji ze strony widzów i czytelników. Do krytyki podwiązują się terenowe gazety i na swoim terenie szukają podobnych przypadków sprzeniewierzeń. Ale reporterzy wyruszający na łów, nie zawsze mają fart. Wtedy niektórzy z nich usiłują nagiąć rzeczywistość do zaplanowanej tezy. Pamiętają przede wszystkim o tym, co wielokrotnie słyszeli w sekretariacie redakcji - artykuł bez zdjęcia nadaje się tylko do kosza.

W wychodzących w Rzeszowie "Super Nowościach" ukazuje się na pierwszej stronie duże zdjęcie Urszuli Poznańskiej urzędniczki miejscowego urzędu skarbowego, jako ilustracja do hitu numeru p.t. "Podatek, albo śmierć". Podpis pod zdjęciem: - "Nie tworzymy przepisów, tylko je egzekwujemy". Autor Krzysztof Rokosz w pierwszej połowie publikacji włącza się do kampanii medialnej o nieudolnych pracownikach skarbowych, którzy nie mając racji, straszą podatników wezwaniami, karami i są nawet w stanie doprowadzić ich do śmiertelnego zawału.

Dlaczego pani Poznańska, na którą nigdy nie wpłynęła skarga od petentów, poświadczyła swoim portretem artykuł, oskarżający urzędników fiskusa? Bo dziennikarz powiedział jej szefowi, że chce iść pod prąd i napisać właśnie o uczciwych i kompetentnych pracownikach skarbowki. Zdjęcie bohatera reportażu ma ten obraz uwiarygodnić.

A że z tekstu to nie wynika? - Nie było miejsca - tłumaczy - na rozpisywanie się. A poza tym złych urzędników nie dało się sfotografować. Musi być ilustracja ❖ oto pierwsze przykazanie, które wbija się do głów startującym w zawodzie dziennikarskim. Tylko nieliczne, renomowane tytuły gazetowe mogą sobie pozwolić na obsługiwanie czytelnika, przed wszystkim poszukującego na łamach tekstu. Telewizja w ogóle jest obrazkowa. Jej reportaże przede wszystkim zaspokajają ciekawość oczu.

W programie "Interwencje" (Polsat) wyemitowano reportaż o brutalnym zabójstwie emerytów z Sochaczewa. Głównymi świadkami w tej sprawie jest małżeństwo P. Widzieli morderców, oni też zawiadomili policję.

Dziennikarze "Interwencji" namówili P. do wystąpienia przed kamerą. Zgodzili się pod warunkiem zmiany ich personaliów i zasłonięcia twarzy. Tymczasem, zobaczyli się na ekranie w całej okazałości, choć ze zmienionymi nazwiskami. W kontekście słów, że reporter Piotr Owczarski dotarł do osób, które widziały przestępców.

Pan P. napisał do nas: - "Czujemy się zagrożeni, żyjemy w ciągłym lęku o życie nasze i naszych dzieci. Mordercy są na wolności i wiedzą już, kto zawiadomił policję".

Najważniejsze, pokazać twarz człowieka. Po emisji może sobie protestować, to już nie ma znaczenia - ta zasada przyświeca też autorom innych programów telewizyjnych. Jeśli determinacja idzie w parze z nonszalancją, może dojść do groteskowych sytuacji.

TVN 24 wyemitowała w serwisie informacyjnym materiał o aresztowaniach wśród kierownictwa Izby Celnej Łodzi. Dla zilustrowania wydarzenia posłużono się, zdjęciami celników, ale... z uroczystości wręczenia awansów pracownikom przykładowo pracującej Izby Celnej w Białymstoku.

Głośna na Śląsku sprawa red. Krystyny B. z katowickiego radia, znanej na swym terenie publicystki od problematyki zdrowotnej, wywołała falę zapytań do Rady Etyki Mediów w podobnej sprawie.

Przypomnijmy problem, z którym musieli się uporać pracodawcy redaktor B:

W połowie kadencji została ona senatorem, członkiem komisji zdrowia. Zamierzała kontynuować dotychczasową działalność dziennikarską, prowadząc na interesujące ją tematy zdrowotne cykliczne audycje. Prezes katowickiego radia sprzeciwił się. Powstał spór, w którym zabrała głos i REM:

- Zmiana funkcji społecznej skutkuje zmianą suwerena. Suwerenem dziennikarza, zwłaszcza radia publicznego jest słuchacz. Suwerenem senatora jest partia, organizacja, która wysunęła jego kandydaturę i udziela swego poparcia, głosujący na niego wyborcy i klub, który reprezentuje. W próbę łączenia obowiązków dziennikarza i polityka wpisany jest konflikt interesów. W odniesieniu do Karty Etycznej Mediów przywołać można zasadę pierwszeństwa dobra odbiorcy - tłumaczy członek Rady.

Bliski kontakt z public relations (rozumianym szeroko, łącznie z funkcją rzecznika prasowego) może oznaczać koleżeński uścisk, albo dostanie się w kleszcze. Linia

demarkacyjna między dziennikarzami a PR-owcami zaciera się, bo coraz więcej dziennikarzy pracuje na dwa fronty. To zapętlenie potęguje się wraz ze stopniowym zdominowaniem zawodu PR przez byłych dziennikarzy.

Red. Tadeusz R. z redakcji publicystyki Radia Rzeszów S.A. (działka: tematyka społeczna, oraz ochrona zdrowia), podjął dodatkowe zatrudnienie w Podkarpackim Oddziale Narodowego Funduszu Zdrowia w Rzeszowie na stanowisku kierownika sekcji komunikacji społecznej, przekształcanej w dział public relations.

Prezes Radia uważa, że tych dwóch funkcji nie można łączyć. Dziennikarz nie dostrzega żadnego konfliktu interesów. Rada zdecydowanie poparła stanowisko szefa Radia.

Podobnie zarysowany konflikt interesów wszedł w ostrzejszą fazę - już sporu sądowego, we Wrocławiu. Prezes tamtejszego Polskiego Radia wypowiedział umowę o pracę dziennikarce, która bez jego zgody wzięła etat rzecznika oddziału ZUS. Dziennikarka wystąpiła do sądu o uznanie wypowiedzenia za bezskuteczne, a ponadto o odszkodowanie z tytułu wadliwego rozwiązania z nią umowy. Mimo długiego stażu zawodowego nie rozumie, na czym polega naruszenie przez nią przepisów. Uważa, że zna zarówno prawo prasowe jak i zasady etyki zawodowej dziennikarzy. Przez wiele lat była rzecznikiem dyscyplinarnym Związku Zawodowego Dziennikarzy. Funkcję rzecznika prasowego ZUS postrzega, jako przedłużenie działalności dziennikarskiej. W uzasadnieniu pozwu podaje przykłady z jej środowiska zawodowego, gdy dziennikarz jest jednocześnie rzecznikiem prasowym i jak twierdzi, nikomu to nie przeszkadza.

Nasze stanowisko jest następujące: Dziennikarz jest zawodem zaufania publicznego, które to zaufanie w przypadku wykonywania funkcji rzecznika może być narażone na szwank. Dziennikarz informuje społeczeństwo o otaczającym świecie - obiektywnie, na ile to możliwe i bezstronnie. Rzecznik zawsze jest po stronie swego pracodawcy. W tej różnicy zadań tkwi załączek konfliktu interesów, do jakiego niemal nieuchronnie prowadzi łączenie obu funkcji. Dziennikarz, będący rzecznikiem, traci wiarygodność u odbiorców; tym samym traci ją medium, które dziennikarz reprezentuje.

xxx

Na koniec chcielibyśmy odnotować nasz szczególny sukces. W 2002 roku REM wystąpiła do prokuratora z wnioskiem o popełnieniu przestępstwa przez Jerzego Urbana, redaktora naczelnego tygodnika "Nie", który wydrukował haniebny, szyderczy artykuł o Janie Pawle II.

W ub. roku zapadł wyrok skazujący red. Urbana

Opracowała Helena Kowalik-Ciemińska p. o. sekretarza Rady